

Opowiadania bandyty dla Laury Laurki.

Wesele.

Był rok 1975. Już od jedenastu lat przyjeżdżaliśmy na wakacje do tej samej miejscowości nadmorskiej w okolicy Koszalina. Nasza rodzina składała się z trójki rodzeństwa, mamy i babci. Byliśmy rodziną patologiczną. Nie, żeby alkoholizm, czy kazirodstwo były na porządku dziennym. Nic z tych rzeczy... Patologią nazywam to, co z pozoru wydaje się normalne... Nie mieliśmy ojca. Odszedł, gdy miałem trzy lata. Powodem była nienawiść babci do niego, za przynależność do innej niż jej religii i za to, że rzekomo okradł ją zabierając majątek, który zebrała pracując uczciwie jako nauczycielka, jeszcze przed wojną.

Babcia ukończyła uniwersytet wileński. Pochodziła ze starej szlacheckiej rodziny o dumnym nazwisku, szczytającej się herbem, ale biednej. Podczas studiów musiała sobie sama radzić finansowo, zarabiając korepetycjami na swoje utrzymanie. Jednym z uczniów babci był młody bogaty szlachcic mieszkający pod Wilnem, którego rodzina nie szczędziła środków finansowych, byleby tylko rozbrykany synalek podciągnął się w ocenach na uczelni. Udało mu się uwieść moją babcię i w konsekwencji został moim dziadkiem. Z tego związku urodziła się moja matka, ale piętno megalomanii mężczyzny ciążyło na babcię do końca jej dni. Dziadek był lekkoduchem, kobieciarzem i hazardzistą. Gdy raz wróciwszy z pracy do ich wspólnego domu, babcia zastała go zabawiającego się z dwoma prostytutkami, odeszła od niego zabierając córeczkę, moją matkę. Podczas ich wspólnego życia dorobili się folwarku i dużego stada owiec. Później dziadek przegrał majątek w karty, ale zostawił babci zapis i połowę majątku. Babcia znienawidziła mężczyzn.

Gdy odszedł mój ojciec, moja matka znienawidziła mężczyzn. Od tego czasu już nigdy nie odważyła się na związek z osobnikiem znienawidzonej płci przeciwnej. I nigdy już nie była z żadnym mężczyzną. Zadawała się substytutami. Najchętniej flirtowała z księżmi, jak to jest przyjęte w drobnomieszczańskich środowiskach małych miasteczek, gdyż byli oni nieszkodliwi... Ten co najczęściej się u nas pojawiał zmarł z przeżarcia i nadmiaru cholesterolu. Drugim substytutem byłem ja, ukochany synek mamusi, którego to – mnie – trzymała w swoim łóżku do trzynastego roku mojego życia. Bardzo lubiła kąpać mnie w wannie i patrzeć jak rośnie moje przyrodzenie, gdy mnie tam dotykała. Byłem tylko substytutem, tzn. namiastką. Było to dla mnie obrzydliwe, ale nie miałem na to wpływu.

Myślę, że był to też rodzaj zemsty na płci męskiej... Działo się tak, ze względu na brak miejsca w naszym dwupokojowym mieszkaniu, chociaż matka mogła równie dobrze spać razem z moją siostrą, co zawsze wydawało mi się oczywiste i normalne. Poza tym zawsze mówiła mi o tym jak wielka jest jej matczyna miłość (cokolwiek by to miało znaczyć), a dziecko przyjmuje wszystko od matki, która go przecież kocha. W moim domu nie było jednak miłości, ani zrozumienia, przez co nie miałem pojęcia na czym to uczucie polega, nie miałem też zakodowanego wzorca rodziny, jej zasad funkcjonowania i w ogóle zasadności bytu. Krótko mówiąc byłem rozedrganym strzępkiem emocjonalnym, bez poczucia wartości i braku pewności siebie.

Tak więc po raz jedenasty pojechaliśmy na wakacje w to samo miejsce. Matka z babcią oszczędzały przez cały rok, żebyśmy mogli tam pojechać, a ponieważ obydwie były nauczycielkami, nasze wakacje trwały zawsze dwa miesiące.

Byliśmy znaną rodziną w tej wiosce, a i my wszystkich tam znaliśmy. Co roku zostawialiśmy na strychu u gospodarzy karton z naczyniami, niezbędnymi do normalnego funkcjonowania domu, tak że można było we własnym zakresie organizować posiłki, oszczędzając tym samym pieniądze na pobyt.

Dla mnie ten czas był okresem nieskrępowanej niczym wolności. Chodziłem własnymi ścieżkami, miałem ulubione drzewa, na które mogłem się wspinać, mogłem bawić się z dziećmi, które przyjeżdżały na dwutygodniowe turnusy wczasowe.

Moja matka, ze względu na wykonywany przez siebie zawód, nazywana była przez tubylców panią muzyczną, jako że uczyła muzyki. I tak też pewnego razu, zdarzyło się, że od sąsiadów naszych gospodarzy przyszedł ich kuzyn z zapytaniem do pani muzycznej:

- czy nie zagrałaby na weselu, gdyż zachorował im organista?

Moja matka była oburzona, że wiejski kmiołek odważył się przyjść z takim pytaniem do pani profesor! i chcąc pozbyć się intruza zdecydowanie odpowiedziała, że ona to na pewno nie, ale może jej starszy syn się zgodzi, bo uczy się przecież w szkole muzycznej. Była przekonana, że i ja odmówię, jako że byłem na pozór bardzo skromnym i płochliwym dzieckiem. Do dziś pamiętam jej zdziwioną minę gdy ja wyraziłem zgodę. Głupio było jej wycofać się z tej całej sytuacji, i tak stało na tym, że będę grał na weselu...

Następnego dnia po południu pod naszą kwaterę podjechała Warszawa wyładowana sprzętem muzycznym i instrumentami, i pojechałem z dwoma młodymi chałturnikami do Koszalina, gdzie w jakiejś restauracji miało odbywać się przyjęcie weselne. Nasz zespół składał się z trzech osób. Perkusisty, basisty, no i organisty, którym byłem ja. Nie miałem wcześniej kontaktu z muzyką popularną czy ludową, opartą na akordach harmonicznym. Cała wiedza muzyczna jaką posiadałem, zawarta była w nutach, a każda próba odtwarzania muzyki na podstawie akordów była surowo ganiona w szkole muzycznej.

Razem z chłopakami rozstawiłem sprzęt nagłaśniający salę i instrumenty, rozłożyłem organy, które przypadły mi w zastępstwie chorego muzyka i zaczęliśmy przygrywać gościom do kotleta. Umówiliśmy się, że gitarzysta basowy będzie stał obok mnie i będzie mi mówił jakie akordy mam łapać na klawiaturze, tak długo, aż zorientuję się na czym to polega... Po jakichś dwóch godzinach radziłem sobie wyśmienie bez żadnych nut. Zasada okazała się bardzo prosta. Piosenki, które graliśmy były mi znane ze słyszenia, składały się maksymalnie z pięciu akordów, tak że znając piosenkę wiedziałem z góry jakie rozwiązanie harmoniczne nastąpi, a i moi koledzy znali tych akordów najwyżej siedem. Zresztą więcej nie było trzeba...

Ugoszczono nas wspaniale; mieliśmy stół razem z innymi gośćmi i dostawialiśmy to samo co inni zaproszeni. Naprzeciwko mnie posadzono babcię panny młodej, osiemdziesięcioletnią staruszkę, która jak na swój wiek była bardzo rześka. Robiliśmy przerwy co pięć piosenek i wtedy mogliśmy siadać do stołu i jeść i pić. Staruszka z drugiego końca stołu już na początku imprezy oznajmiła mi, że się mną zajmie i dotrzymała słowa. Za każdym razem gdy siadaliśmy w przerwie do stołu czekał na mnie pełen kieliszek rodzimej czyściochy, a babinka mówiła do mnie za każdym razem: pij młody, bo co nam w życiu pozostaje? Alkohol nie miał na mnie takiego wpływu, jak się spodziewałem. Upijałem się bardzo powoli, i co dziwne nie traciłem jasności myślenia, jedynie nogi robiły się jak z waty, z godziny na godzinę.

Po godzinie dwunastej, gdy odegraliśmy obowiązkowe oczepiny, moi nowi koledzy przyprowadzili rudą kelnerkę z którą zamierzali udać się na piéterko, w celu rozładowania napięcia seksualnego; chcieli mnie zabrać ze sobą, żebym z tą rudą pięknoscią przeszedł tzw. inicjację, ale ona otaksowała mnie wzrokiem i stwierdziła, że jestem za młody. Musiałem więc zabawiać gości jako jednoosobowa orkiestra przez godzinę, a wzrastający stan procentów w moim krwiobiegu dzielnie mi w tym pomagał.

Wesółko zakończyło się około piątej nad ranem. Na miękkich nogach pomogłem kolegom załadować sprzęt pojazd i o szóstej rano wysiadałem z samochodu pod naszą kwaterą. Właściwie to nie wysiadłem, ale spadłem na ziemię i na czworakach dotarłem do pokoju. Odsypiałem ten stan do wieczora... Umysł miałem cały czas trzeźwy, byłem bardzo zadowolony z zarobku, jaki mi przypadł w udziale. Zarobiłem w jedną noc więcej niż moja matka zarabiała na dwóch etatach w szkole przez miesiąc.

Za połowę zarobionych pieniędzy kupiłem sobie włoskie buty do kostek, na które moją matkę nigdy by nie było stać, drugą połowę oddałem jej.

Ale coś się zmieniło w moim życiu. Miałem skończone czternaście lat i straciłem wmuszany mi od

małego szacunek do kogoś lub czegoś... Zacząłem żyć własnym życiem, kierując się wrodzonym mi zwierzęcym instynktem.

Dla mojej Leny.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ferdynand, dodano 24.09.2009 09:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.